

Teksty Drugie 1992, 4, s. 91-100



Pochwała Leszka Kołakowskiego

Stefan Morawski

Portrety

Stefan Morawski

Pochwała Leszka Kołakowskiego

1. Kiedy Bóg powołał do żywota Leszka Kołakowskiego, miał zapewne chwilę szczególnego natchnienia i radosnej rozrzutności. Dał mu mnóstwo talentów, ofiarował mu wyjątkową wielokształtną i ostrą inteligencję a ponadto obdarzył go niewyczerpywalną potrzebą wiedzy oraz solidną pracowitością. Wolno domniemywać, że zadowolony ze swego oryginalnego dzieła Bóg przewidział komplikacje, szepnął sobie i Leszkowi Kołakowskiemu: „Będiesz wojował ze mną całe życie, ale we wszystkich postaciach wojowania, nawet tych występnych i bluźnierczych, dasz mi świadectwo nieodwołalne i wesprzesz tych nie tak licznych przecież myślicieli, którzy pojmują bez reszty, że nie podobna owocnie filozofować pominąwszy problem mej obecności”. Zazdrosny o wyjątkowy twór boski szatan włączył się do sprawy, wykorzystując buntownicze zadatki Leszka Kołakowskiego. Uczulił go na swój posiew, zewsząd dający znać o sobie tyleż z okrutnej historii, co z żalosnej współczesności, tyleż z jednostkowej, co ze zbiorowej świadomości i działań z niej wynikających. Chichot z szatańskiej strony dobiegający oznajmiał, że zło jest nieuniknioną i wszędobylską przypadłością ludzkiej egzystencji i dopiero w jego świetle nabierają rzetelnej mocy pytania ostateczne, które w równym stopniu, choć w innym języku, stawiają religia i filozofia. Jakoż Leszek Kołakowski został naznaczony szczególnie zmysłem umożliwiającym widzenie i uchwyce-

nie zła w jego najskrytszych wymiarach oraz geniuszem podejrzeń, który nieustannie pobudza i ożywia myślenie krytyczno-sceptyczne. Dodajmy jeszcze, że to podwójne — boskie i szatańskie — wezwanie zrealizowało się nie bez aktywnego udziału wezwanego. Czegokolwiek dotknął się, zamieniał w kruszec myślowy, wspomagany niewątpliwymi wartościami artystycznymi (*primo voto* literackimi). W ilu równie wyśmienitych rolach wypadło mu wystąpić — historyka filozofii i eseisty, bajkopisarza i autora prób scenicznych, szermierza określonych idei politycznych w polemice z „bałwochwalstwem polityki” (jak brzmi tytuł jego szkicu z roku 1986) i badacza idei religijnych. Wszelako nade wszystko, we wszystkich formach wypowiedzi — filozofował charakteryzując i analizując fundamentalne właściwości kondycji ludzkiej, zwłaszcza w jej historycznie skonkretyzowanych XX-wiecznych modyfikacjach. Jego wyzwanie wobec sił i sytuacji wzywających go do rozprawienia się z niedostatkami rozumu i wyobraźni i z wszelkimi złudzeniami znajdowało inny wyraz w kolejnych fazach jego twórczości. Pisano o tym już wielokrotnie. Zważywszy nieprzebrane, proteuszowe bogactwo dokonań Kołakowskiego zmuszony jestem skupić się na kilku wybranych toposach jego *oeuvre*. Jak miemam, na toposach należących do głównego korpusu jego filozofii.

2. W rozprawce z 1962 r. o zakresowym i funkcjonalnym rozumieniu filozofii Kołakowski optował za drugą z tych ewentualności. Nie trzeba wówczas ustalać określonego przedmiotu badań, rozstrzygać *a priori*, czy badanie ma być naukowe, czy ponadnaukowe, czy zgoła nauce przeciwstawne, wystarczy pojąć swoistość dyskursu z określonymi, jak je autor nazywa, terapeutycznymi funkcjami odnoszącymi się do adaptacyjnych niedomóg człowieka rozważanego jako gatunek biologiczny bądź *homo faber*. Wydaje się, że — z pewnymi niuansami — Kołakowski pozostał wierny tej opcji i właśnie w tej perspektywie najdogodniej można określić jego własny styl uprawiania refleksji filozoficznej. Otóż dyskurs jego jest związany wtórnie z kwestiami ontologicznymi lub epistemologicznymi, podczas gdy pierwotna uwaga skupiona jest na sensie egzystencji ludzkiej, która jest bezpośrednio uwikłana w problematykę osobowości na tle procesów historycznych. Filozofia człowieka wysuwa na plan pierwszy doniosłość postawy etycznej oraz nie pozwala pominąć milczeniem uwikłań *zoon politikon*, między innymi zasad rządzenia i ich relacji wobec wolności, jednej z wartości najwyższych. Egzystencja ludzka przejawia się w dwu nieprzywiedlnych do

siebie wymiarach — w rzeczywistości empirycznej obejmującej racjonalno-utilitytarne myślenie, nakierowane ku władztwu nad przyrodą i ku sprawnej technicznie organizacji życia społecznego, oraz w rzeczywistości transcendentalnej, ugruntowanej na czynnościach usensowujących zarówno jednostkowe postępowanie jak i historię, a ponadto na wartościach (między innymi, i najpewniej przede wszystkim) religijnych. Między obu tymi obszarami — *de facto* i *de iure* — jest przepaść nie do zasypania. Z jednej strony sama przypadkowość bytowania, z drugiej konstrukcja sensu istnienia; z jednej relatywizm radykalny, z drugiej ciężenie ku absolutyzmowi, ku regułom o prawomocności uniwersalnej; z jednej *ratio*, z drugiej mitologia. Między tymi porządkami jest nie tylko *hiatus*, ale i nieustanne konfliktorodne napięcie narzucające takie lub inne wybory, a przede wszystkim przymuszające do utrzymania jakiejś względnej między nimi równowagi. Jednakże ta dążność concyliacyjna skazana jest na porażkę, bowiem uchylenie antynomii zawsze pozostaje bez widocznych skutków. Egzystencja ludzka jest aporetyczna i taką — wraz z jej dramatycznymi konsekwencjami — trzeba zaakceptować. Z tego stanu rzeczy wynika, że nie ma żadnych rozwiązań bezspornych.

Dobro miesza się ze złem. Słuszne zasady przekształcają się w dogmaty bądź komunały, co pociąga za sobą groźbę ich skostnienia bądź wyjąłowania. Można stosować, jak w medycynie, zwodnicze *placebo*, ale filozofia temu właśnie służy, aby *placebo* demistyfikować. Myśliciel ma do dyspozycji inwentarz dyskursywny, który *modo logico* stosuje jako chirurgiczne narzędzie w analitycznych dociekaniach, a jednocześnie zdaje sobie sprawę, iż do jądra rzeczy prowadzi raczej naiwna wiara, niżli najbardziej wyrafinowany intelekt. Dlatego też na filozofii, która ma odsłonić i nazwać po imieniu cały ciężar bytu, spoczywa obowiązek tyleż nieustannej krytycznej czujności, samokontroli, sceptycznego namysłu nad wszystkim co podawane i uznawane jest za zbiór pewników, co dystansu wobec najlepszych instrumentów pojęciowych, gdyż te najczęściej mijają się z doświadczeniem sięgającym dna istnienia. Jakoż to, co należy do *logosu*, można sprawdzić i udowodnić, ale wobec wymiaru transcendencji okazuje się odległe i bezsilne, to zaś z kolei, co doświadczenie wiary zdobywa, dowodu nigdy nie przedstawi, sprawdzeniu urąga i właściwie zastyga w milczeniu. Kołakowski podkreśla przy tym — szczególnie w książce o religii z roku 1982 — przeciwieństwo postawy oświeceniowej i chrześcijańskiej oraz jednocześnie paradoksalną

bliskość pozycji sceptyka i mistyka. Sceptyk bowiem żywi się samowiedzą nieusuwalnej niepewności tego, co udostępnia nam *logos* i tym samym zatrzymuje się na granicy, poza którą otwiera się mistyczna iluminacja. Filozof stając w obliczu owego paradoksu zdolny jest unaocznic nieracjonalność racjonalizmu i racjonalność irracjonalizmu. Pierwszą — dlatego i w tym znaczeniu, że nie ma takich reguł bezwarunkowych, które mogłyby zakazać przyjmowania przekonań niesprawdzonych, unieważniałyby wartość przekazu trudno werbalizowanego, odrzucałyby twierdzenia nie dające się przełożyć na język zdroworozsądkowy bądź wyrazić słownikiem nauk empirycznych, traktowałyby sferę wartości li tylko jako zbiór wypowiedzi emocjonalnych, niejasnych i wieloznacznych. Drugą z kolei dlatego, że bez jakiejś propozycji porządku metafizycznego podobnie jak bez ładu boskiego niepodobna obronić sensu istnienia ludzkiego w jego aspekcie pojedynczym i zbiorowym oraz w kontekście jego dziejów. Znamienna tedy dla stylu filozofowania Kołakowskiego jest maestria dyskursywna, obnażanie słabości przesłanek danych wywodów i konkluzji, zapędzanie dyskutanta w kozi róg, a zarazem autentyczna wrażliwość na prawdy, które pojęciom stawiają opór. Wnikliwości i trzeźwości jego umysłu towarzyszy empatia wobec przeżyć, które porządek empiryczny przekraczają. Z cechą tą pospołu występuje ujawnianie wagi i powagi pytań ostatecznych, które domagają się odpowiedzi bezwzględnych a ich znaleźć nie mogą i jednoczesna lekkość i niekiedy dobrodusznia bądź drwiąco-kąśliwa żartobliwość jego wykładu. Owa sardoniczna tonacja drwiny czy kąśliwości jest rezultatem świadomości, że człowiek jest istotą ułomną i wyposażoną, niestety, w mechanizmy samounicestwiający, w czym właśnie objawia się nieuchronne działanie diabelskich interwencji. Wystarczy uruchomić jedną tylko z dźwigni umysłu, aby go zakleszczyć; wystarczy zawierzyć jednostronnie sprofilowanym założeniom i wyabsolutyzowanym działaniom określonego rodzaju, aby osłepić się doszczętnie.

Trzeba wówczas animować inne moce przeciw owym zakleszczeniom i owej ślepotcie, to znaczy albo uprawiać racjonalny krytycyzm przeciw metafizycznym zapędom i utopijnemu projektodawstwu, albo wziąć odwet na racjonalizmie powierzchownym i fałszywym, który metafizykę za burtę wyrzuca. Kołakowski opowiedział się w r. 1962 za etyką bez kodeksu, gdyż jakakolwiek kodyfikacja uniesamodzielnia człowieka i obezwładnia jego poczucie odpowiedzialności. Wydaje mi się, że w książce o religii nie tyle zmienił poglądy, co inaczej postawił akcenty.

Wypada powtórzyć za znanym bohaterem Dostojewskiego, że bez Boga wszystko jest dozwolone, a więc wszystko równie albo nic nie warte, co obraca się w uwiad aksjologiczny. Nie znaczy to jednak, że Kołakowski w latach osiemdziesiątych upomina się o jakowyś sztywny kodeks moralno-religijny. Nie podpisuje się przecież pod teodyceą scholastycznie uzbrojoną, która zapewnić ma raz na zawsze spokój moralny. Wręcz przeciwnie, podąża raczej za intuicją, że elementarne wartości etyczne muszą mieć ważność uniwersalną i ich miejsce pośród szczytowych w hierarchii aksjologicznej jest nienaruszalne. Intuicji tej dają oczywiście wyraz nauki chrześcijaństwa, ale także np. imperatyw kategoryczny w Kantowskim ujęciu. Nie określona wycena postępów rozstrzyga o tym, jak wolność własną próbujemy utrzymać w syntonii z odpowiedzialnością za to co czynimy i z poczuciem długu wobec innego człowieka, lecz sumienie. Bóg, którego ma się na uwadze, to nie odwieczna substancja oddzielona od bytowania ludzkiego, lecz Bóg ewangeliczny albo po prostu boskość — korzeń człowieczeństwa. Powiada się ponadto, iż wszechpanoszące się zło należy kontrować wciąż od nowa zmieniając reguły walki z nim, co wyklucza jakikolwiek kodeks zawsze i wszędzie obowiązujący.

Tu rysuje się przejście ku analizom Kołakowskiego dotyczącym współczesnej kultury i cywilizacji. Najbardziej rozwiniętym ich świadectwem jest znakomity zbiór esejów *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań* z 1982 r. Cywilizacja stawiana jest od kilku dekad na ławie oskarżonych. Czy zasługuje na obronę? Oświecenie spowodowało, że wygasły tradycyjne wartości, zwłaszcza podmyta została ufność w zasady o uniwersalnym zasięgu; autonomiczną osobowość ludzką zredukowano bądź to do biologicznych wyznaczników u jej podłoża leżących, bądź do doktryn (ideologii), które na nią mają wywierać wpływ przemożny; erozji uległa świadomość historyczna ustawicznie aktualizowana, a więc względna, wykluczająca warianty, które dziedzictwo oświetlają niegasnącym żywym blaskiem; postęp uznano za kamień węgielny historii, sprzęgając go przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, z techno-scjentyściami zwycięstwami. Można więc mówić o kryzysie kultury. Kołakowski nie sądzi jednak, aby materialne korzyści zdobyte dzięki gwałtownemu rozwojowi techniki i nauki należało odrzucać. Zło jest odwieczne, a zło współczesne, według niego, nie tyle jest poczęte z cywilizacyjnych sukcesów, ile z ich zawrotnego tempa i możliwości niewłaściwego ich samoniszczycielskiego eksploataowania, czego znamiennym

przykładem była ostatnia wojna światowa, a po niej wyścig militarny na tle ustawicznych wojen lokalnych. Kłopoty z kulturą, wielorakie i bumerangiem powracające, mają źródło w nienasyconej pogoni za luksusowym dobrobytem, nieograniczoną władzą, totalną administracją zniewalającą jednostki ludzkie, ale też nie mniej niebezpieczne są tendencje anarchizująco-permisywne, rojenia o powrocie do natury, manifestowanie ucieczki od cywilizacji jakoby z charakteru swego antyludzkiej. Na gruncie takich ekstremalnych postaw i dążności rodzi się mitotwórstwo, które nawet przy najlepszych intencjach wiedzie do piekielnych następstw.

Kłopotem najdotkliwszym i centralnym naszego czasu okazał się totalitaryzm w rozmaitych jego przejawach. Jemu też, jego punktom wyjściowym, hipokryzji ideologicznej i złowrogim manipulacjom Leszek Kołakowski poświęcił mnóstwo prac, pośród których najcelniejsze są trzytomowe *Główne nurty marksizmu* (1976–78) — dzieło dzisiaj już klasyczne. Wykazał w nim między innymi, że ideologiczne założenia nie są niewinne i że szczególnie w perspektywie koncepcji kładącej nacisk na to, aby świat nie tylko wyjaśniać, ale i przekształcać, ich skutki praktyczne nie okazują się bynajmniej notoryczną deformacją programu wyjściowego. Z racji bowiem dwuznaczności i luźności przyjętych aksjomatów owe deformacje są niejako prowokowane. W odpowiedzi na marksistowską filozofię *praxis* Leszek Kołakowski nie tyle przyłączył się do słynnej marksowskiej tezy interpretującej Feuerbacha, ile — co może wydać się zaskakujące — po swojemu ją strawestował i zasymilował. Mianowicie teoretyczne wywody o podstawach i wymogach etyki oraz kluczowych kwestiach filozofii politycznej (tzn. o istotnych treściach demokracji i jej kształcie w opozycji do totalitarno-autorytarnych założeń) nie mogą i nie powinny pozostać bez praktycznego ciągu dalszego. Skoro pytamy, jak dobrze i godziwie żyć, jak zorganizować świat społeczny gwarantując optimum swobód jednostkowych i wspólnotowych interesów w imię samorządności (choćby wedle recepty pogodzenia ze sobą konserwatywnych, liberalnych i socjalistycznych, jak to z przymrużeniem oka wyłożył Leszek Kołakowski w 1978 r.) — trzeba się angażować. Niekoniecznie wprost jako *homo politicus*, ale przynajmniej zabierając głos ilekroć wolność jest zagrożona. Tak też Kołakowski postępował od r. 1956, stając się jednym z czołowych autorytetów moralnych dla całego ruchu dysydenckiego w Polsce i krajach tak zwanych demokracji ludowych.

Jego sposób uprawiania filozofii uprzytomnia, na czym zasadza się pozytywnie mitotwórstwo (przeciwko mitotwórstwu pozornemu albo

zgoła rakogennemu), klarowne i mistrzowskie stosowanie warsztatu wykształconego w szkole analitycznej, wykazuje, że w świecie manichejskim, nekanyim nieusuwalnymi sprzecznościami i konfliktami bez wyborów bezwzględnie dobrych, można i należy szukać umiaru, to znaczy rozwiązań zachowujących względną równowagę między skrajnościami, ustawiczne *caveat* przeciw choćby drobnym symptomom barbarzyństwa, aktywnym w życiu społecznym. Wszystko to prowadziło do rzucenia rękawicy, *spes contra spem*, rzeczywistości koszarowej, w której każdy człowiek podobnie jak każda rzecz był własnością Lewiatana i jego samozwańczej emanacji, rzekomo przodującej w procesie wszechdziejowym. Wszelako to nie działalność obywatelska, lecz działalność filozoficzna i wynikające z niej konsekwencje oraz obowiązki, była i pozostała naczelnym powołaniem Leszka Kołakowskiego.

3. Jeśli powyższa, jakże uboga i uproszczona, charakterystyka toposów właściwych dla widzenia i rozumienia przez Kołakowskiego sensu istnienia jest dostatecznie perswazyjna, wypada mi się zatrzymać nad jeszcze jedną, ostatnią już kwestią, która przewija się przez całą jego twórczość: mianowicie czym jest filozofia, co usprawiedliwia jej rolę i funkcję wydającą się hipertrofią i pasożytnictwem. Refleksje metafizyczne z lat sześćdziesiątych — między innymi ta, do której się już odwołałem — stanowiły wstępne rozeznanie. Filozof — fabrykant słów i to nader abstrakcyjnych — bywa notorycznie podejrzany o jakiś kamuflaż, zakrywający spekulacjami i chimerycznymi propozycjami swoje niecne jakoby nieróbstwo. W samej rzeczy jednak, jak tłumaczył Kołakowski już w r. 1962, nie ma powodu dociekać jak i po co istnieje filozofia, skoro w życiu codziennym, pół-świadomie obecna jest zawsze i wszędzie, choć w trudno uchwytnym stanie ciekłym. Świadomy jej kształt zadomowiony jest w światopoglądzie potocznym, zaś filozof-profesjonalista transformuje go dzięki swej robocie krytycznej w stan samowiedzy. Samowiedzy — podkreślmy — uczestniczącej. Uczestnictwo owo dotyczy mitotwórstwa, czyli niezbywalnego i podstawowego składnika wszelkiej kultury. Filozof podejmuje ponadto ustawicznie ponawiany wysiłek samookreślenia się, aby nie tylko usprawiedliwić swą poznawczą pasję, będącą uderzającym nad-datkem z punktu widzenia potrzeb biologicznych i bezpośrednio odczuwalnej użyteczności społecznej, ale ponadto, i przede wszystkim, aby rozpoznać jako mitoznawca własne możliwości wpływania na bieg wydarzeń

duchowych i materialnych. Nie są one wielkie. Dokonują się pośrednio, na skutek niewiadomych i nie tych samych wcale mechanizmów, ale są faktem niewątpliwym.

Spośród plejady filozofów urzędowych i samomianowańców przynajmniej ci najwięksi, oczywiście nieliczni, wpływali i wpływają na pewno na dzieje kultury i to w sposób niekiedy wcale znaczący. W *Horror metaphysicus* — książce, która nie ma równych sobie w światowej literaturze przedmiotu — jeszcze raz i najpełniej powrócił Kołakowski do problematyki metafizycznej. Filozofia, wciąż na cenzurowanym, skazywana była co jakiś czas przez samych filozofów na banicję czy wymarcie. I oczywiście odżywała — choćby w rozważaniach jej najzawziętszych samooskarżycieli. Jej krewniaczką najbliższą jest religia — jak i ta żyje ona nie tyle odpowiedziami, co przeklętymi pytaniami, które należą do kondycji ludzkiej, nie inaczej niżli oddychanie i pobieranie pokarmu, śmiech i płacz, ciekawość świata, miłość i śmierć, etc. Filozofować — to tyle, co z obawy przed chaosem budować porządek i nadawać sens rzeczywistości, ale też, w jednakowym stopniu tyle, co burzyć ów ład okazujący się ułudnym i przejściowym i korygować sens ustalony. W dwu parodystycznych tekstach, mało znanych czytelnikowi polskiemu, tj. w *Ogólnej teorii nieuprawiania ogrodu* (z r. 1985) i *Legenda cesarza Kennedy'ego* (z r. 1986) Kołakowski prowadzi do granic całkiem prawdopodobnego absurdu możliwe wypaczenia mitotwórcze, które cyhają na filozofa bądź historyka filozofii.

Pierwszy z tych tekstów na przykładzie koncepcji marksistowskiej, psychoanalitycznej, egzystencjalnej, strukturalnej i analityczno-semantycznej ujawnia pułapki wszystkoogarniających teorematów, które mają być wyłącznymi depozytariuszami prawdy, a pozostają w jawnym skłóceniu ze sobą i, co najważniejsze, z doświadczeniami życiowymi. Każdy z owych teorematów wyraża pogardę dla ogrodnictwa, zajęcia nie tylko użytecznego, ale — jak już stary Goethe zauważył — budującego chyba pełniejszy sens egzystencji niżli pokretna sofistyka uczonych antagonistów. Tekst drugi demonstruje kiedyś tam w dalekiej przyszłości odbywający się spór trzech szkół antropologicznych, których rzecznicy rekonstruują erę uważanego za cesarza Johna Kennedy'ego, zmyślając na różną modłę historię naszych czasów w oparciu o szczątkową i wybiórczą dokumentację źródłową. W obu tych kapitalnych kpinach Kołakowski, bezlitosny mitoznawca, nie dezawuuje mitotwórstwa w sposób bezapelacyjny. Jest ono przecież nieodzownym nadawaniem sensu

naszemu przypadkowemu bytowaniu i chaotycznej ludzkiej przeszłości, rzecz jednak w tym, aby zdawać sobie sprawę z kruchości tego, co się skonstruowało. Stąd zapewne skromność Leszka Kołakowskiego, która, jak do mnie dotarło, niektórym wydaje się kokieteria. Nic błędniejszego. Wie on doskonale, jak dużo dokonał, ale też świadomy jest, że wszelkie koncepcje wznoszone są na ruchomych piaskach, zwłaszcza kiedy roszczą pretensję do oczywistej pewności i wyłączności. Żadnej też pozy, żadnej sztuczności nie znajduję w licznych oświadczeniach Kołakowskiego o chwiejnym statusie filozofa oraz we wskazówce, że nade wszystko winno go cechować poczucie samokrytyczne. Świat wydaje się być pozbawiony matrycy, a jednocześnie bez niej obejść się nie możemy. Stąd natarczywe, kto wie czy nie daremne, pytania o nią — i właśnie owa pytajność jest chlebem powszednim filozofii. Ta zaś, niezdolna do ukonstytuowania języka ekumenicznego, który godziłby w jakimś wspólnym mianowniku zderzone ze sobą różnorakie poglądy, winna być nie ich zakładniczką, lecz podejrzliwym świadkiem. Filozof:znający granice swych możliwości jest świadom tego, że prawda mu wciąż umyka, ale czyha nań wciąż pokuśa nieustanna, aby wytropić jakąś Arcy-Prawdę. Kiedyś pisząc o prawdomości i prawdzie (szkic z r. 1966) Kołakowski zwracał uwagę, że przeciwieństwo mitoznawstwa i mitotwórstwa, czyli ujawnianie utopijności zamierzeń filozoficznych i ich, rzekłoby się, zarazem nieustępliwego utopiotropizmu są objawem znerwicowanej kultury, jednocześnie kwitnącej i chorej. Wydaje się, że filozofia, partycypując w owej nerwicy jako jej trwała komponenta od zarania cywilizacji, przeżywa dzisiaj ową sprzeczność ostrzej niż kiedykolwiek, nasiliły się bowiem zmagania między wartościami i diabeł dumnie podnosi głowę. Dlatego między innymi daje o sobie znać spotęgowana refleksja metafizyczna — samobójcza w trendzie postmodernistycznym, ozdrowieńcza w takiej wersji, w jakiej uprawia ją Kołakowski.

Filozofia, jak powtarza, nie temu służy, aby kryzysy leczyć, lecz temu, aby je w całym świetle ujawniać.

4. W rozmowie z Siegfriedem Lenzem (z r. 1979)

Leszek Kołakowski przystał na to, że fatum — choć niepoznawalne — może urabiać losy indywidualne bądź zbiorowe. Niechaj wolno mi więc będzie przypuścić — nawiązując do mej swawolnej wypowiedzi na początku tego sprawozdania, że Bóg (albo, jak kto woli, siły nieznanne zwane Opatrznością) powołał był do istnienia filozofa polskiego, o jakim

się dotąd nie śniło: trafiającego w sam środek tarczy naszego stulecia, a podejmującego zarazem kwestie, które wyznaczają treść i zakres *philosophia perennis*. O umyśle krystalicznie jasnym, w analizach ostrym jak diament, a przy tym zdolnego jak poeta czy religijny wizjoner do wejrzenia w gęstwę spraw najbardziej zawiłych i ciemnych, które buntują się przeciw językowym artykulacjom. Myśliciela wytrawnego i subtelnego, a zarazem moralistę i człowieka zaangażowanego *in publicis*, który w tej czy innej mierze dał przykład wzorcowy wielu rocznikom młodzieży studenckiej, intelektualistom i artystom, etc. jak żyć wedle zasady *non possumus*. Mieliśmy kilku uczonych w tej dziedzinie wiedzy, uznanych za wspaniałych nauczycieli w kraju i cenionych wysoko za granicą, ale nie pomyłę się chyba stwierdzając, że nie było filozofa tak wszechstronnie utalentowanego i tak głęboko rozpatrującego kondycję ludzką w ogóle i szczególnie jej przejawy w naszym stuleciu. Nikt też dotąd tak jak Leszek Kołakowski nie rozślawił w takim stopniu polskiej filozofii. Wolno wyjść zasadnie poza przyjęty tu naturalny układ odniesienia, to znaczy rodzime dziedzictwo i stan kultury z regionu byłego tak zwanego obozu socjalistycznego. Również w relacji do dokonań filozofii światowej dzieło Leszka Kołakowskiego należy do najprzedniejszych.

Wyróżnia je między innymi zadziwiająca symbioza różnych wątków filozoficznych. Symbioza, której niepodobna sprowadzić ani do arbitralnej mieszaniny rozmaitych ingrediencji, ani do systemu z żelaznymi obręczami. Jego myśl dynamiczną i otwartą, a przy tym wciąż samoregulującą się, charakteryzuje mądrość i szczególnie dramaturgia dyskursu, którą można by ująć w dwu figurach — ołowiu na skrzydłach i Jakubowej drabiny. Figurach zdawałoby się nie do pogodzenia, a właśnie w ich spektrum rozpięty jest według Kołakowskiego sens istnienia ludzkiego i na nich opiera się samowiedza filozoficzna. Dzięki tej oryginalnej symbiozie umiał on celnie użyć rzeczywistość, którą inni mieli za ugory, albo odwrotnie — odsłonić jałowiznę tam, gdzie innym rzekomo udało się nazbierać wory pełne ziaren. Uznanie jego wybitności, potwierdzonej już licznymi pracami o jego *oeuvre* w kraju i za granicą, to dziś święto naszej kultury, a szczególnie Uczelni Łódzkiej, która może być dumna z tego, że był on ongiś jednym z jej pierwszych wychowanków.